Nr. 29. We Lwowie dnia 21. lipca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Dzielnym Chochołowianom, potomkom wybrańców króla Stefana Batorego...

Na pamiątkę powstania chochołowskiego 21. lutego 1846 r., a ku uczczeniu Jana Kantego Andrusikiewicza, księdza Leopolda Kmietowicza i księdza Michała Świętopełka Głowackiego.

Rok 46! Komuż na to słowo nie staną w oczach w tej chwili widma okropne „rzezi galicyjskiej“, komuż nie zabrzmi w uszach straszny hymn boleści, jakiego niema żaden naród w świecie, pieśń, od której krew krzepnie w żyłach...

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos....

Tłoczą się wspomnienia, jak to krew, krew bratnia splamiła dłonie, przesuwają się obrazy grozy, zbrodnie, pożogi, a nad tem wszystkiem unosi się podły duch wroga, co się nie wahał uciec do tego sposobu, aby tylko dokonać zniszczenia narodu ujarzmionego.

Nam młodszym, cośmy nie patrzali oczyma własnemi na ten straszny rok, przychodzą na pamięć opowiadania ojców i dziadów, tradycja zakłócia widłami, zarżnięcia kosą,....... przypomina się straszliwy medal, dzisiaj dosyć rzadki, którym upamiętniono zbrodnię bezprzykładną, — profile herszta zbójców Szeli i kanclerza Meternicha, otoczone wieńcem z ciał pomordowanych, główek dzieci, snopem piszczeli i kościotrupów.

A pieśń brzmi dalej:

Okropne dzieje przyniósł nam czas,
syn zabił matkę, brat zabił brata,
mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ o Panie! oni nie winni,
choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
inni szatani byli tam czynni;
o! rękę karaj, nie ślepy miecz!

Ten straszny rozdźwięk w narodzie, kiedy chłop „cesarski“ morduje „Polaków“ i dostawia do becyrku za pieniądze — objął, jak wiadomo, głównie okolice Tarnowa i Bochni, a sięgnął po górali. Oni jedni nie wzięli udziału w rzezi, oni nie splamili się krwią bratnią, to też słusznie może rzucić w twarz chłopu w szopce krakowskiej góral słowa: ty zbóju galicyjski! Na góralszczyźnie nie było rzezi, przeciwnie zdarzył się tam równocześnie fakt niezmiernej doniosłości, oto sam lud podjął powstanie zbrojne przeciw Austrji.

Górale nie zawiedli nadziei narodu, ci sami górale, do których zwracał się o pomoc Jan Kazimierz w czas trwogi, a którzy rozbijali w puch zastępy wojska szwedzkiego, ci sami górale, co pomagali konfederatom barskim, a potem walczyli pod naczelnikiem Kościuszką, — usłuchali i teraz głosu narodu.

Tam w odległej wiosce u samych granic Polski, w zapadłych górach, powstaje lud z wiarą wielką, że to sprawa święta, że pomódz muszą narodowi. Stamtąd od Tatr błyska nadzieja, a więc nie wszyscy, a więc nie cały lud poszedł za podszeptem wroga, tam zaświtała jutrznia uświadomienia chłopa.

W czarnym obrazie roku 46, odbija tem jaśniej bohaterstwo Chochołowian, co pod wodzą Andrusikiewicza i Kmietowicza wyruszają, aby zrobić, jak Bóg chce, by uczynić sprawiedliwość narodowi, aby znów była nowa Rzeczpospolita od Tatr do morza. Na całem Podhalu chodzą wieści dziwne, że zanosi się na wojnę świętą, starzy przypominają, co im zdali jeszcze ojcowie, że po tela nie dobrze na świecie, pokiel u Krakowa nie będzie straszna wojna, że nadszedł czas, kiedy to król Bolesław ma wyjść z wojskiem zaśnionem z Tatr w Polskę i bronić mowy i wiary. Dzieją się niezwykłe rzeczy, między ludzi chodzi stary dziad z ewangelją świętą i gło-

si, że się odmieni w Polsce, a ludzie pytają z niecierpliwością: Kie tez ta co bedzie? aby sie raz cérniawa rusyła! i modli się, dejze to sam ślicny Jezus!

Z Zakopanego wybierają się górale do kościoła na Bańkówki, tam się wyspowiadają i ruszą potem, aby pożenić tych Niemców psiagłowców het w doliny ku Wadowicom, ku Krakowu!

Mimo sieci urzędników, obcych przybyszów i jeszcze gorszych własnych zaprzańców, mimo niechętnego stanowiska wielu dworów, a obojętnego zachowania się proboszczów — w Nowotarszczyźnie — rzecz idzie naprzód.

Zacny ksiądz Michał Świętopełk Głowacki, wikary w Poroninie porywa Podhalan gorącemi kazaniami, on to podtrzymuje wiarę w króla Bolesława, tłómaczy, że oni tem wojskiem zaśnionem, co ma iść w Polskę, naucza o dawnych czasach, zachęca do oświaty i do kochania Polski.

W samem ognisku ruchu — w Chochołowie, zjawia się mąż biblijnej prostoty i ewangielicznego zapału, organista Andrusikiewicz, który jest duszą obudzenia ludu.

Dopomaga mu wikary ksiądz Kmietowicz i razem w krótkim czasie rozdmuchują iskrę tlejącą w wielki ogień.

Chochołowianie powstają z zupełną świadomością, co czynią, uważają to za rzecz tak prostą, za obowiązek, bo tak być ma, Bóg wie co robi, Bóg tak chce, że odrazu na wezwanie organisty i wikarego wyproszczają kosy, zbierają broń i powstają. Idą do walki z najbliższą strażą austrjacką na cle granicznem od Węgier, a idą z myślą, że będzie to rok walki koniecznej, a po nim sto lat pokoju. Potem urządzą sobie Polacy dom, jak chcą, wybiorą króla, albo może, żeby znów szlachta nie uciskała ludu, jak dawniej pod królem — postanowią Rzeczpospolitą nową, sprawiedliwą.

Lud sam to rozważa, nad tem myśli, a tu równocześnie na dołach inne zgoła dążenia, inne cele i zamiary rządzą chłopem — cóż za ogromna różnica w pojmowaniu stosunku swego do narodu, tu a tam!

To też znaczenie powstania chochołowskiego w roku 46, jest olbrzymie!

Chwilę tę powinno się poznać dokładnie, i góralom tatrzańskim przyznać stanowisko, które im się słusznie należy — w historji ruchów narodowych, w dziejach obudzenia się polskości w wieśniaku.

* * *

Wspomnienia wczesnego dzieciństwa łączą mnie z Chochołowem. Tam do ojca mojego schodzili się górale chochołowscy, sołtysi, przynosili stare pergaminy od królów polskich, wspominali dawne czasy, dawne boje. W głowie dziecka roiło się od myśli i pragnień, raz wyrwałem się na pierwszą wycieczkę sam w góry, aż mnie potem zbłąkanego przywiodła jakaś kobieta do rodziców. Stał jeszcze wówczas w Chochołowie stary kościół drewniany, ocieniony olbrzymią lipą, obok wznosiła się nowa wielka świątynia murowana, której budowę zaczął jeden z sołtysów chochołowskich, ksiądz proboszcz Blaszyński.

Stary kościół drewniany, co patrzał na powstanie górali w roku 46, w którym święcono broń do walki za naród, dziś już nie istnieje.

Po wykończeniu nowego kościoła budowę tę dawną zniesiono, a jedyny po niej ślad pozostał w widoku, który wówczas namalował za pobytu swego w Chochołowie ojciec mój r. 1871 i który w jednym z następnych numerów „Tygodnia" podamy w podobiźnie.

Została tylko lipa stara, która jedna z otoczenia nowego kościoła pamięta owe czasy, kiedy to tu przed 55 laty zbierały się zastępy górali z kosami wyproszczonemi, a szły, aby robić porządek w Polsce.

Pusto tu dzisiaj i cicho w dzień powszedni, a tylko szemrze jak przed laty stara ogromna lipa trzechsetletnia, co widziała wiele zdarzeń, co patrzała młodem drzewkiem na wybrańców sołtysów chochołowskich, jak wyruszali w pole dla obrony Rzeczypospolitej, a potem, gdy Rzeczpospolita zczezła, widziała już wielkiem rozłożystem drzewem, porywy dzielnych potomków sołtysów, kiedy się ruszyli, aby znów podźwignąć Rzeczpospolitą.

W dali sinieją Tatry, we wsi piękne stare chaty ocienione jasieniami i dobrzy górale, co do dzisiaj pamiętają niektórzy z naocznego widzenia, inni z żywej tradycji, wypadki roku 46, poruseństwo chochołowskie.

Z dzieciństwa i z późniejszych stosunków z góralami chochołowskimi, został mi w pamięci ten Chochołów pełen chwały i uroku, to też gdy potem już w wiele lat później znalazłem się znowu tutaj, nie mogłem się oprzeć złudzeniu, że tu gdzieś w cieniu chat drzemie duch wielkiego króla Stefana i jego wiernego wybrańca z wypraw moskiewskich, Bartłomieja Kluski Chochołowskiego.

I ilekroć zdarzyło mi się potem być w Chochołowie, zdało mi się, że za chwilę z za którejś chaty ocienionej jasieniami wyjdzie wielki król Batory w szkarłacie tak, jak wisi na portrecie współczesnym u XX. Misjonarzy w Krakowie, a otoczą go kołem wierni górale wybrańcy ze wsi Chochołowa, Bartłomiej Kluska i jego towarzysze, któremu król za wierne usługi, oddane w potrzebie moskiewskiej nadał dziedziczne sołtystwo.

I niewątpliwie posiew rzucony przez króla Stefana wydał plon po tylu wiekach, bo myśl taka nie marnieje i wynurza się z głębin ducha, gdy jej potrzeba dla narodu. Tu, w tej samej wsi, na samym krańcu Polski, znalazł król Stefan, co gromił moskiewskie bojary, niezwykłe poświęcenie kmieci w czasach, gdy bohaterstwo wojskowe było, zda się, wyłączną własnością szlachty. Z Nowotarszczyzny wyszli wtedy wielcy wojownicy:

panowie i chłopi, ród karmazynów Pieniążków i ród sołtysów Chochołowskich.

Stąd, z Podhala prowadził dzielne zastępy przeciw Moskwie starosta nowotarski Jan Pieniążek, tu było gniazdo tej zacnej rodziny, co wydała tylu wojowników.

Jan Pieniążek, najstarszy syn Prokopa, starosta nowotarski na wyprawie moskiewskiej w r. 1580 wiódł rotę własnym nakładem, a zyski z dzierżawy nowotarskiej obracał chlubnie ku potrzebie Rzeczypospolitej, bo poczet niemały wojska na pograniczu kosztem wielkim chował i w inszych sprawach wiele a pilnie Rzeczypospolitej służył, jak mówi współczesny Paprocki. Bracia Jana, Prokop i Krzysztof, utrzymywali znaczne roty w wyprawach moskiewskich, a nadomiar jeszcze sami walczyli dzielnie, jako i ich brat najmłodszy Nikodem.

Prokop dokazywał cudów waleczności i odwagi na wyprawie moskiewskiej, szczególniej pod Pskowem r. 1582, gdzie wpadł pierwszy do wyboju w murach twierdzy i swym przykładem pociągnął innych do zwycięstwa.

W pocztach Pieniążków naśladowali wodzów dzielnie żołnierze, górale tatrzańscy, a jeden z nich Bartłomiej Kluska Chochołowski, poddany ze wsi Chochołowa, będąc z tej wsi za wybrańca naznaczon, tak się nawet odznaczył, że król Stefan za męstwo okazane w wojnie moskiewskiej nadał mu osobnym przywilejem dziedziczne sołtysostwo w Chochołowie*).

Król Zygmunt III. „mając baczność“ na służby uczciwe Bartłomieja Kluski, także na nakłady i niebezpieczeństwo, które poniósł w wojnach, potwierdził owo nadanie króla Stefana w r. 1592, a to „chcąc go tym więcej pobudzić do posług“.

Potomkowie Bartłomieja własną pracą i zasługą zarabiają na nowe przywileje, bo oto niedługo potem w r. 1595 nadaje król Zygmunt III. Stanisławowi Chochołowskiemu, następcy Bartłomieja za zasługi, które okazał w służbie na Podolu i gdzieindziej, przywilej potwierdzający dawne prawa. I pokąd istniała w Polsce służba piechoty wybranieckiej, zniesiona w r. 1649, odznaczają się ciągle sołtysi chochołowscy i otrzymują nowe potwierdzenia przywilejów.

*) Przywilej króla Batorego nie dochował się, wspomina jednak o nim następny przywilej, który potwierdza jego osnowę, to jest akt Zygmunta III. z r. 1592. Wszystkie następnie przytoczone akta i przywileje dochowały się dotychczas w ręku górali w Chochołowie. (C. d. n.)

„Świadectwa“.

Więc znowu koniec kursu. Więc znowu, szala sprawiedliwości i oceny prac wielu jednostek, przeważyła zasługę oraz winę, pilność, oraz zaniedbanie, postęp i nieuctwo!.. Wiecznie ta sama historja i te same tragedje. Jedni — biedni — pilni — zatopieni w nauce, kują, siedzą, ślęczą, męczą się, nadwerężają zdrowie i siły; a drudzy — pewni siebie, śmiali, spokojni. Jedni biorą świadectwa uradowani i zadowolnieni — drudzy — z żalem i zgrzytem bolu, jaki zawsze „krzywda“ za sobą wlecze. Ta i owa jednostka ma po „świadectwie“ otwarte przed sobą dalsze drogi oświaty i wiedzy, albo zamyka się przed nią straszna, okropna, rogatka zakazu i powiada: — przepadło!.. Albo „świadectwo“ jest drogą do „karjery“, albo wynosi nad tłum ciemny i szary, albo wtrąca w tę „przepaść“, w której się słyszy tylko jedno — „Do szewca!!.“ Jakie to ważne, a jak lekko bywa wykonywane!..

Fala „celujących“ i zdolnych przesuwa się zawsze wyżej tych mniej zdolnych i wybitnych, ale pytajmy dziejów i świadków dzisiejszej doby, czy w życiu, tak samo ci „najpierwsi“ bywają „celującymi?“ — Ileż to razy „świadectwa“ szkolne spadły bardzo nisko w szkole życia!!!.. Ileż to razy zbrukały się i splamiły świadectwa tych „wybranych“, a odtrąceni, złamani, pozostawieni na uboczu, stali się chlubą i sławą narodu!.. Ostrożnie z oceną ludzkiego ducha wogóle, lecz stokroć więcej ostrożności z oceną pracy uczniów i młodzieży. Władza despotyczna, spoczywająca w rękach nauczycieli — musi być władzą ojcowską i niech się nie plami ani nie brudzi „protekcjami“, „sympatjami“, „uprzedzeniami“ i t. p. wadami, bo ofiary, które padają z tego powodu, są cierpieniem narodu i krzywdą jego.

Są — którzy pragną „przerzedzić“ szeregi szkolne, którym trochę za wiele proletarjatu, garnącego się do nauki, którzy powiadają, iż trzeba „szewców — lokaji — sług“... I niejeden raz — „świadectwo“ dane dla tego, aby od szkoły oddalić młodzieńca — łamie życie jednostki, a może i jej rodziny...

Za uzębienie kota, w jednym gimnazjum kazano powtarzać VI-tą klasę — za pominięcie jednego przylądka Afrykańskiego, chłopak przestał chodzić do szkoły, bo nie było czem „opłacić“, jeśli jak powiada Sienkiewicz, „małpy ogoniaste i bezogoniaste“ ciągle po szkołach się powtarzają, to w wadze ocenienia prac ducha młodzieży, nie ma ducha ani odrobiny. Zeszłego

roku w jednem gimn. trzy klasy miały poprawki z naturalnej. I o cóż szło władcy oświaty w zakresie nauk przyrodniczych?.. Jeden uczeń w maju nie miał w zielniku kwiatu fasoli, bo w maju fasola jeszcze nie kwitnie. Drugi powiedział, iż ryby pływają skrzelami, a oddechają płetwami... inny zapomniał o zębach lwa... Wobec tego, tylu a tylu biedaków padnie w ofierze — tylu a tylu przemęczy się i zatrapi, tylu i tylu „repetować“ będzie — lecz nikt głosu protestu nie podniesie i nikt o reformę nie zawoła. A przecież — wydawanie „świadectw“ szkolnych, to rzecz nader ważna i — powinna być nie po to, aby „p r z e r z e d z a ć“ szeregi, lecz aby wieść naród do oświaty.

Wiec rodziców, ze świadectwami dzieci w ręku — odkryłby dużo prawdy i wyjaśnił — ile ofiar padło u stóp teraźniejszego systemu — systemu zabijania ducha.

I. S.

Mikołaj I. i Królestwo kongresowe.

N. Szildier: „Mikołaj I. i Polska“.

3)

Z takiego poglądu na sprawę, wynikało konsekwentnie — zniszczenie tych ustępstw na Litwie, które poczynił był Aleksander. Nasuwała się przedewszystkiem sprawa korpusu litewskiego. „W Prusach i Austrji, pisał Mikołaj do brata, panuje zupełna jedność wojska. U nas inaczej. Na Litwie wojsko nosi na mundurach inne kolory. Dopóki je noszą Rosjanie, nic to, ale nie mogą ich nosić Polacy. Trzeba więc przedewszystkiem zmienić mundury, następnie w składzie korpusu oficerskiego „pokrzyżować“ Polaków i Litwinów z Rosjanami, a następnie odrazu połowę rekrutów z Litwy wziąść do Rosji, a miejsce ich zastąpić rekrutami z gubernji rosyjskich. Polacy, rozrzuceni po cesarstwie, będą znakomitymi żołnierzami, a w armji utrzymanem zostanie przeświadczenie, że jest czysto rosyjską“. Tyle co do wojska. Następnie pojawić się miały ukazy o szlachcie zagonowej na Litwie etc. W zakresie zaś szkolnictwa wypadło tylko podtrzymać zaczętą za Aleksandra, a tak płodną w skutki — działalność Nowosilcowa.

A stosunek do Królestwa, do jego karty konstytucyjnej? Pod tym względem, jak zaręcza Barzykowski, pokładano zrazu w Mikołaju pewne nadzieje; nie był on twórcą karty konstytucyjnej, liczono więc, że nie będzie jej tak nicował jak Aleksander. Generał Szildier zapewnia nas również o dobrych w tej mierze zamiarach Mikołaja. „Rozróżniał on dwie strony sprawy polskiej, co do ziem zabranych wypowiadał się w sposób niedopuszczający dalszych złudzeń, ale w Królestwie miał zamiar być królem ściśle konstytucyjnym“. Szanowny autor, w tej mierze powołuje się nawet na zdanie samych Polaków i wydobywa cytatę z tak zawsze *sympatycznego* dzieła p. t. „Margrabia Wielopolski“. Ze zdaniem tem zgodzić się możemy, o ile ma ono uwalniać Mikołaja tylko od zarzutu chęci zniesienia konstytucji za jednem pociągnięciem pióra; o ile zaś zdanie to miałoby być zastosowanem szerzej, to sam autor za dużo nagromadził artykułów przeciwnych, żebyśmy zapewnienie jego mogli brać na serjo. Odnosi się nawet to wrażenie, że dla generała Szildiera — cytata z Lisickiego była deską ratunku niejako, że użył jej za skwapliwie. Historyk polski, który uważał Nowosilcowa za przyjaciela Polaków, mógł również uważać Mikołaja za dobrego króla konstytucyjnego, ale z tego nie wynika jeszcze, żeby opinje jego można było brać na serjo, a zwłaszcza brać ją za wyraz zapatrywania Polaków. Mikołaj mógł pisać do Konstantego, że chce być dobrym królem konstytucyjnym, mógł to pisać nawet szczerze, ale trudno zaprzeczyć, że rolę swą jako króla — pojmował nieco oryginalnie. Zresztą zmiana charakteru armji polskiej, zniweczenie nadziei na przyłączenie Litwy — same przez się podważały gmach konstytucji, podważały go w fundamentach samych, zbliżały ją coraz bardziej do statutu organicznego, a wtedy..., wtedy zdanie Lisickiego mogłoby nawet mieć za sobą słuszność.

Nowy system napotkał opór—w osobie tego, któremu jeszcze niedawno w Rosji składano przysięgę na wierność, w osobie cesarzewicza Konstantego.

Historjografja nasza dawniejsza przedstawiła go nam cokolwiek jednostronnie. Mówiono tylko o jego barbarzyństwie jako naczelnego wodza, mówiono o tem, że był on jedną ze sprężyn ciągłego naruszania konstytucji, był despotą policyjnym w Warszawie. Wszystko to prawda, przesady niema wcale, fakta cenniejsze jeszcze w tym względzie podają źródła rosyjskie. Mimo to wszystko jednak — czujemy, że czegoś brak jeszcze do zupełnej charakterystyki postaci. Nawet Mochnacki, jak gdyby odczuł, że podana przez niego charakterystyka nie jest zupełną,

Hoffman w większym jeszcze stopniu. Postać zaciekawia żywo naszych autorów i mimowoli robią oni prawie wyraźne zastrzeżenia, że czegoś brak jeszcze.

Przecież cesarzewicz był posłem na sejm, posłem z miasta Pragi. Wtedy — w listach do Opoczinina — nazywał sejm nasz komedją, a jednak postawił wniosek o zapomogę dla Pragi, podupadłej od roku 1794; przecież jako poseł w r. 1830 powiedział swym kolegom: „Będziemy radzić o dobru Ojczyzny, mówię Ojczyzny, gdyż mieszkając między Wami od lat 15 nabyłem do niej prawa... Je suis quelquefois fou de tête, mais mon ceur est toujours bon“ (Lipiński). W zdaniu ostatniem jest dużo prawdy. Wykrycie tego jest główną zasługą, karty, poświęcone osobie Konstantego, najciekawszemi miejscami — pracy generała Szildiera.

I z przyjemnością powtarzamy za nim jego wywody, bo w ten sposób, z polskiego punktu widzenia, zrozumialszą, naturalniejszą staje się ta niezaprzeczona sympatja, którą żołnierze nasi otaczali cesarzewicza.

Te 15 lat, o których mówił Konstanty, to okres dużej zmiany w jego zapatrywaniach.

W roku 1814, pisząc do Wasiljewa, z powodu pogłosek o przyłączeniu ziem zabranych do Księstwa, wypowiedział się w sposób następujący: „Przecież w myśl praw naszych – nie można się wyzbywać rodowych posiadłości. Do Księstwa nie należy przyłączać niczego. Najlepiej by było urządzić wszystko na sposób rosyjski, zaprowadzić administrację czysto rosyjską. Ja sambym się podjął przeprowadzenia tego. Ale najlepiej powrócić do tego stanu rzeczy, który zabezpieczyły traktaty r. 1797“. W dalszym ciągu przyłączenie starej Finlandji do nowej — określał jako „l'histoire du pelican à rebours“.

Jeszcze w r. 1818 połączył się z hr. Capodistria w opozycji do mowy tronowej Aleksandra, robił odnośne uwagi cesarzowi.

Teraz było inaczej. Konstanty nietylko przejął się punktem widzenia brata, ale pojął go w swój, oryginalny, więcej dla nas sympatyczny sposób. Za panowania Mikołaja popierał sprawę polską — całą wagą swego wyjątkowego stanowiska, z którem nowy panujący liczyć się musiał.

Cesarzewicz wyrobił sobie swój punkt widzenia na sprawę rozbiorów Polski, na politykę Katarzyny II. „Jestem Rosjaninem, pisał do brata w d. 11/IV 1827, ale nie jednym z tych, którzy sądzą, że Rosjanom wszystko wolno, a innym nic. Istnieje w Rosji przysłowie: „Matuszka Rossija bieriot dobrowolno, nastupia nogoj na gorło“ (Ojczyzna Rosja zabiera w sposób pokojowy, przyłożywszy nóż do gardła), ja nie jestem zwolennikiem takiego pojmowania rzeczy. Jedyna ścisła nauka—matematyka wykazuje, że, gdy założenie niesłuszne, wywody są również niesłuszne. Otóż wszyscy w Polsce wiedzą, że kraj ich został złupionym w czasie pokoju, nie zawojowanym, złupionym za pośrednictwem środków, przed użyciem których wzdrygnąłby się każdy człowiek uczciwy. Tylko Księstwo Warszawskie jest zdobytem z bronią w ręku. Kara za zbrodnię prędzej czy później spadnie na głowę złoczyńcy. Rozbiory Polski były naruszeniem zasad prawa międzynarodowego, jakobinizmem“.

I niedość na tem. Konstanty wzdragał się na myśl prostego przejścia do porządku dziennego nad obietnicami Aleksandra I, wskazywał nowemu panującemu na ich zakres, wagę. Pisał Mikołajowi o tem, że w Polsce z rąk do rąk krążą kopje listów Aleksandra do Kościuszki, że Aleksander, nawet w czasie ostatniego swego pobytu w Warszawie, mówił wielu osobom, w sposób zupełnie rzeczowy o połączeniu z Królestwem ziem zabranych.

Nie ograniczał się do korespondencji osobistej z Mikołajem, pisał do Opoczinina, polecając mu odczytywanie swych listów cesarzowi, „pour fixer son opinion“.

(C. d. n.)

Wacław Tokarz.

Włodzimierz Jarosz.

Straż pożarna.

(Obrazek wiejski).

IV.

W niedzielę, po nieszporach, siedziało u Jośka w alkierzu kilku radnych. Rozmawiali o pogodzie, o urodzajach, o chudobie, o braku pastwisk, o biedzie, co się skądziś po dobrym świecie rozlazła—zwyczajnie jak rozmawiają przy wolnym czasie gazdowie. Kaczor moczył gębę w kieliszku, a pod oknem, Rogal toczył rozmowę z pisarzem.

— Ja się tam do żadnych cudzych rzeczy wtrącać nie chcę — mówił pisarz.

Ci, co słyszeli te słowa, uśmiechali się drwiąco. Nawet małe dziecko we wsi wie, że to pisarz po-

buntował Marcinowego zięcia i że prowadzi mu teraz proces — że Wielgusowi parobka odmówił i dał go do dworu — że wszędy musi wściubić swój nos, gdzie jeno można co zyskać. Ale teraz, z radnymi zadzierać się, było mu jakoś nie na rękę.

— A cóż to — namawiał go Rogal — czy ja co złego chcę od was?... Babę mi sponiewierał i skarżyć go chcę — a nie daruję, żebym się miał wyzbyć ostatniej koszuli...

— Nie kładź palca między drzwi — rzekł pisarz mądrze i palcem kiwał Rogalowi pod nosem.

— Nie, to nie to pójdę do miasta — wzruszył chłop ramionami — jeno mi szkoda dnia roboczego.

— Wiecie panie radny... Z duszybym rad — ale wiecie — nijak mi... Jeden radny i drugi radny. To jakoś niepięknie. Porządni gazdowie tak nie robią.

— E... rzucił się Rogal — nie chwalcie nas jednako. Jabym się nigdy do bab nie wtrącał. A do tego jeszcze... Rzucił ręką. — Szkoda gęby... szkodniki są i tylo...

— Niby kto?... zapytał któryś z radnych.

— Ktoby, jak nie Suchciki. Takiego sąsiada mieć, to Panu Bogu się oddaj... Tyle tej gawiedzi — ciągle się to tłucze wszędy. Trawy na ogrodzie nie dotrzymasz, bo ci stałabią... ta — z przeproszeniem waszem — nawet łajno na wygonie nie utrzyma się, bo jak Suchcik przejdzie drogą, to zaraz podniesie, a na swój grunt rzuci.

Radni roześmiali się. Patyk wziął braci w obronę.

— Ale co gadacie. Przecie to porządni ludzie. Nie piją, spokojni, wody nikomu nie zamącą, harują jak woły...

— Pewnie... świadczyli inni.

To rozgniewało Rogala.

— A niech ich tam cholera ciśnie!... Co mi do nich... Wolałbym ich nie znać. Ale jak ich znam, to muszę powiedzieć, że są gorsi od żydów. Tak cię wyłuska — tak nie daruje ani ździebełka, tak się pcha na miedzę, tak szkody robi...

— Ee... przerwał ktoś — jak świat światem, zawdy sąsiedzi gryzą się ze sobą...

— A widzicie. — Czemu ja się nie gryzę z drugim sąsiadem? Bo porządny człek jestem. Ale Suchciki?...

Kiwnął ręką.

— Wszyscy wiedzą, że to nicpotem ludzie...

— A - ale... mitygował go pisarz.

Rogal uniósł się.

— A jakże — gadam jeszcze raz i sto razy to powiem, że takich złodziejów, jak Suchciki, świat nie widział...

I z całą siłą grzmotnął w stół pięścią. Ale jeszcze ostatnie jego słowa nie rozwiały się w powietrzu, jeszcze Kaczorów kieliszek nie wrócił do równowagi, kiedy otworzyły się drzwi — i obaj bracia zasłonili sobą wejście do alkierza.

— Daj Boże dobre południe — wyrzekł chmurny Jantek.

— Daj Boże dobre zdrowie — odpowiedziano.

— Coś-jeście kumie gadali — zwrócił się starszy Suchcik do Rogala. — Gadajcie dalej — a i my posłuchamy.

— A jakże — dodał ponuro młodszy.

Rogal zawstydził się. Jak było, tak było — dość, że obmawiał tych ludzi. Nie bał się ich — ale nie mógł powtórzyć tego, co powiedział przed chwilą. Coby to za hańba była, gdyby tak radni, poważni gazdowie bić się w karczmie zaczęli — jak parobcy...

Więc choć dławiła go złość, choć go korciło wykrzyknąć: złodzieje — przecie zmiarkował się rychło i trochę drżącym głosem przemówił.

— E, — wiecie kumie... Ni czas tu ni miejsce na sprawę... A jeszcze, że i pomiarkowania nie macie...

Bracia nie mieli już o co zaczepić. Siedli na ławie i słuchali rozmowy, co nawiązywała się, przerwana wybuchem Rogala i ich niespodzianem wejściem. Wtem wszedł wójt z resztą rady — przywołał obecnych i rozsiadł się za stołem.

* * *

Nikomu nie chciało się jakoś sprawy zaczynać. Więc kiedy wszyscy chwilę pomilczeli, zaczął wójt, stukając w stół palcem, wedle swego zwyczaju.

— Zeszliśmy się, panowie rada, żeby uradzić coś wedle tej straży. Każden widzi, że z tego wyrośnie wielki pożytek gromadzie i wielka sława dla was, panowie rada. Nowe rzeczy idą po świecie, a chłop nic o nich nie wie. Każden się boi — nie wiedzieć czego. Tu jest rzetelna rzecz. Niema się co bać — raz dwa uchwalić i już. Nie trza wam gadać...

Dla dobitności stuknął raz jeszcze. Przeciwnicy straży ruszali ramionami — strona wójtowska potakiwała. Na słowo jednak nie zdobył się nikt. Więc pisarz, chcąc sprawę przyspieszyć, odezwał się.

— Nikt z panów rady nic nie powie?... To uchwała jest jednomyślna.

— E — coby nie mieli powiedzieć — rzucił Adamski — ta wiecie, że my są przeciwni.

— Kto jest przeciwny?...

— Ktoby miał być.... Ja jestem przeciwny, swat są przeciwni — wskazał na Rogala — i wyście się kiesi nie chcieli zgodzić — zwrócił się do Koreckiego — i Więcak też...

— To czemu się nie odzywacie?...

— Ta-o odzywamy się..... — wtrącił Więcak.

Powstał śmiech. Jużto wiele razy Więcak gębę otworzy, zawdy śmieją się z niego.

— Ale dlaczegoście są przeciwni? — pytał wójt.

— Dlaczegośmy są przeciwni?... zawołał Korecki. — Bo to wstyd i obraza boska i śmiech ludzki, łazić po strzechach, jak koty, albo jak wróble.

— Wy nie pójdziecie na strzechę — obiecywał Pietrek.

— Bobym nie szedł, chocia-byście mi i kazali — wtrącił znów Więcak.

— Jak będziemy chcieli wróble straszyć, to was na strzechę wysadzimy — zapewniał go Skiba.

— Więc kto nie chce, ten nie polezie na strzechę. Czy teraz panowie rada zgadzają się na wniosek wydziału?... — mówił pisarz.

— Nie — nijak się nie zgadzamy — zaprzeczyli starsi.

— A dlaczego? — powiedzcie przecie — pytał wójt.

— Bo nam się nie chce — krzyknął Więcak.

— Bo to obraza boska jakiesi nowe mody we wsi zaprowadzać....

— Bo to niebywała rzecz, co o niej ani ojcowie, ani dziadowie nie słyszeli....

— To was jeno czterech — zauważył wójt — a nas tu jest więcej....

— Ej — panowie rada.... trząsł stary Korecki swą siwą, długą czupryną — widzi mi się, że tak długo we wsi dobrze nie będzie, pok nie będzie źle. Aż nam dobrze bieda doskwierczy, dopiero się schylimy, a powiemy: Nie trza było robić tego, czy owego. Czy to kto kiedy słyszał, żeby chłop na wsi miał chałupę z kominem?.... Albo żeby miał jeszcze alkierz koło świetlicy?.... Albo żeby dziewka płaciła za chustkę po 12 szajnych*), albo i więcej?.... Żeby ludzie za panów się ubierali?... Ojcowie nasi i dziadowie po staremu żyli, pana Boga chwalili i dobrze im się wiodło, choć nijakich nowości nie znali....

*) Szajny — 40 centów.

Zerwał się Skiba.

— Każden stary gazda to samo gada — każdemu się widzi, że drzewiej było lepiej, a to jeno przez to, że stary — i świat mu niemiły. A przecie nie dziwota, że chłop sobie kupi mundur — kie mocniejszy od płótnianki i tańszy....

Stał z rękami założonemi za cienki rzemień, co mu biodra otaczał i trochę zgryźliwie, że mu odzież wytykają, mówił dalej.

— Powiadacie zawdy: Hej, jakto drzewiej bywało — teraz, to już coraz na gorsze schodzi. Ta ja wiem dobrze, jak bywało. A czy to mojemu nieboszczykowi dziadowi nie uschła z przeproszeniem połowa...., co go tak za pańszczyzny zbili? Ta pamiętam go dobrze — i wy go przecie znali. Ale to tak: Kto chce mieć białe, to i czeluść obieli — a kto czarne, to i słonko samo sadzą zasmaruje....

Rzucił ręką i siadł z rozmachem na ławę.

— Ta prawda.... poświadczyli młodzi.

A stary Korecki, ścigając pamięcią swą młodość, szeptał do siebie.

— Taki drzewiej lepiej było....

Tymczasem zaczął gadać Adamski.

— Panowie rada. Bóg widzi, żeśmy są radzi gromadzkiemu dobru. Ale zawdy trza patrzeć, czy się to zda na co, co chcecie zrobić. Nie wiecie to, siła narodu we wsi brakuje? Siła to ich poszło do Prus? A do Węgier?....

— A do Borysławia — a do Kanady.... — dorzucił Rogal.

— Albo i do fabryki — ciągnął dalej Adamski. Co to luda światami łazi. Ta kto wam będzie chodził na te próby, czy jak tam.... (C. d. n.)

4)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

W Szwecji, w latach 30-tych przeszłego stulecia, przypadało na głowę każdego mieszkańca 46 litrów wódki, ale jednocześnie z tem, był to perjod największej niemoralności i rozpusty. Obecnie nastał czas wytrzeźwienia.

W Czechach ma być obecnie 25.000 pijaków nałogowych, którzy stanowią klasę, ciążącą nieprawością swoją zbrodniczą fatalnie na społeczeństwie. W stolicy państwa bojaźni Bożej i dobrych obyczajów, liczą kilkadziesiąt tysięcy prostytutek, z nich prawie wszystkie są pijaczki umiarkowane i nieumiarkowane, ale przeważnie nałogowe.

W wojsku europejskiem, wszyscy żołnierze oddają się pijaństwu stałemu, albo okolicznościowemu. Podoficerowie, kapralowie są nałogowi. Żaden z oficerów nie należy do towarzystwa wstrzemięźliwości.

Służba wojskowa zamiast kształcić ludzi na obywateli kraju, staje się tylko szkołą pijaństwa i demoralizacji. Rozpusta żołnierzy pociąga za sobą straszny upadek moralny personalu służbowego płci żeńskiej. Żaden żołnierz bowiem obyć się nie może bez „Braut“, czyli kochanicy po tutejszemu, a żadna kochanica bez żołnierza.

Duchowieństwo świeckie i zakonne bez piwnic klasztornych i parafialnych egzystować nie może*).

*) Że i u nas nie jest inaczej posłużyć mogą fakty następujące:

Studenci uniwersytetów piją po desperacku, nazywają ich sami Niemcy „Trinklehrmejster'ami“, za pijaństwem idzie w ślad rozpusta, za nią choroby weneryczne. Profesorowie niemieccy uważali w ostatnich czasach za swój obowiązek, wystosować gremjalną odezwę do młodzieży uniwersyteckiej, zwracając jej uwagę na ten stan opłakany moralności, wyrosłej z jej łona. Następnie cały personal dorożkarski, kolejowy, tramwajowy pije regularnie, większą część wypadków nieszczęśliwych przypisać należy alkoholizmowi. Wszyscy prawie rzemieślnicy i mieszczanie oddają się regularnej i okolicznościowej pijatyce.

Ankieta przeprowadzona w szkołach wiedeńskich wykazała, że co 3-cie dziecko pije stale piwo, co 10-te wino, a co 24 wódkę. W domach, tak zwanych arystokratycznych, dzieci wszystkie bez wyjątku piją wino i piwo, szczególnie hojnie raczą trunkami wyskokowymi dzieci słabe. W domach zamożnych mieszczan i urzędników dzieje się to samo.

Damy i po domach i u siebie i w ogródkach za miastem, albo po restauracjach, spijają piwo i wino regularnie, codziennie.

W okręgu górniczym ostrawsko-morawskim przypada na głowę ludności 28 litrów wódki 50% i 150 litrów piwa, czyli 3 razy więcej wódki, niż u nas i prawie 10 razy więcej piwa.

W krajach produkujących wina, jesień cała bywa poświęcona pijaństwu. We Francji użycie absyntu, a w Anglji dżynu, przybrało rozmiary ogromne. Stan bezpłodności Francuzów można przypisać głównie alkoholizmowi.

Oto jest krótka charakterystyka stanu używania trunków alkoholicznych na zachodzie. Na wschodzie, nie powiem, ażeby było gorzej, pijaństwo jest tam tylko masywniejsze, bardziej powszechne i ogólne, a jako główny napój służy tam wódka, mocniejsza, niż na zachodzie.

---

1. W towarzystwie dam z Litwy i Korony przybyłych (Pani Rozwadowska, p. Oruska, p. Markiewiczowa z córką etc.) i kilku mężczyzn, zwiedzaliśmy sławny klasztor na Bielanach w Krakowie. Przeor ówczesny „Gl. Principie di Musiquano i Cariquiano“ podobno, wspaniały i prawdziwie piękny okaz mężczyzny w sile wieku, oprowadzał towarzystwo przybyłe po wszystkich częściach kościoła, klasztoru, parku i sadu, następnie zaprosił na przekąskę, po której, oprócz wielu łakoci, podano i kilka butelek wina; lekkiego i słodkiego dla dam, mocnego w omszonych butelkach dla mężczyzn. Gdy się zapytano, skąd przeor ma tak świetne napoje, odpowiedział, że z piwnic klasztora.

2. Przypadek zaprowadził mię tutaj, we Lwowie, na probostwo jedno w wilję mającego się tam odbyć odpustu, ustanowionego ku czci Matki Boskiej. W salonie jednym i drugim z licznych i paradnych apartamentów probostwa, spostrzegłem całe baterje butelek z winem, stojące rzędami; zdumiony tym niezwykłym widokiem w mieszkaniu osoby, która z racji swego powołania ślubować musiała wstrzemięźliwość i ubóstwo, zapytałem proboszcza, coby to wszystko znaczyć miało, i jak się to daje pogodzić ze stanowiskiem kapłana. Proboszcz rzekł, że to są wina przygotowane na ucztę, mającą się odbyć po odpuście. Gdym zwrócił jego uwagę, że to przecie koszt ogromny, że te omszone butelki drogo muszą być opłacone, odpowiedział mi na to: „Nasze probostwo szczyci się taką piwnicą, jakiej nie znaleźć nawet u magnatów“. To też następnie nie dziwiłem się wcale, gdy na kwestjonarz, rozesłany przez panią Daszyńską, odpowiedziano z zachodniej Galicji, że proboszczowie piją tam porządnie.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Z ruchu wydawniczego.

Pieniny w akwarelach Walerego Eljasza Radzikowskiego. 10 kart pocztowych artystycznych, Wydawnictwo Sal. malarzy polskich.

Główny bohater tych obrazków — to Dunajec, błękitny, rozlewny i śpiewny Dunajec! Zjawia się on niemal wszędzie: Pod Sokolicą zakreśla łuk szeroki, jak gdyby chciał bliżej przymknąć ku tej pięknej i szemrać u samych jej stóp korną pieśń uwielbienia i błagać, aby przebaczyła, iż rozdarł niegdyś jej łono boleśnie, tak boleśnie, że wieki minęły, a szerokie blizny zielenią się nie okryły i ot, na obrazku nawet krwawemi plamami bolą...

I Czorsztyn patrzy w zielonawo modrą jego falę inaczej jednak, niż „młoda dziewczyna w lusterko“. Tak nie może. Tyle wspomnień zasępia mu czoło, tyle strat bruździ lica! Pamięta!... Pamięta pioruny — i łyskania szerokie, — i gwar zgiełkliwy buntu chłopskiego i wyroki straszne...

Koło Czerwonej Skałki i koło Hukowej znowu on, Dunajec! Niesie łódki pełne gości, — wiezie w głąb tajemniczą swego królestwa piękne dziewice, co mają „czystsze serce, śliczniejsze jagody“ od wód jego przejrzystych. I temu taki butny, tak perłami bryzga, tak się dołkami wirów uśmiecha. Zmienny jednak i ruchliwy, wnet inną przybiera postać i spiesząc z pokłonem do Czerwonego klasztoru i Trzech koron, pod niebem błyszczących, skupia fałdy szafirowego płaszcza, zwęża się i wije pokornie, jakby chciał naśladować onych pokutników średniowiecznych, co odbywali pielgrzymki do miejsc cudownych, czyniąc dwa kroki naprzód, a jeden wstecz.

Powiadają: karty illustrowane wychodzą z mody. Może. Ale te, co treścią swojską za serce biorą, a wykonaniem zadawalają upodobania artystyczne, — te nic wspólnego nie mają z tak zwaną „modą“. I romantyczne Pieniny w ślicznych akwarelach Eljasza zawsze budzić będą w widzu polskim całe światy wspomnień historycznych, legend i uczuć szczerych, a silnych.

M.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.